

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYZA

1

I.

4 lutego 1922 roku około godziny wpół do siódmej wieczorem jakiś człowiek dzwonił do małego palacyku przy ulicy Ampere. Z kołnierza jego palta, podniesionego do góry z powodu ostrego chłodu, wyglądała gładko wygolona twarz o okrągłym nosie. Drzwi otworzyły się i na progu ukazała się pokojówka, przystojna brunetka.

— Tu mieszka pan baron de Lagunan? — zapytał przybyły.

Tak, tutaj!

Jestem „extra”.

Ach, bardzo dobrze proszę!

Przybyły poszedł z poważną i dostojną miną za pokojówką, która skierowała się do kuchni. — „Extra” — oznajmiła grubej, czerwonej, w białym czepku na głowie kucharce, która krzątała się koło rondli na kominie.

„Extra” skłonił się, położył swój kapelusz na krześle i zdjął palto. Teraz gdy znalazł się w kuchni, zaczął rozpogadzać swe poważne oblicze; jego gładka, lodowata twarz służącego z porządnego domu, zdawała się topnieć w gorącu bijącym z pieca kuchennego i marszczyła się do uśmiechu, przypominającego komika z poprzedniego kabaretu. Wyglądał na lat trzydzieści. Był średniego wzrostu, lecz mimo, iż postać jego opięta we frakowy garnitur wydawała się dość szczupłą, robił jednak wrażenie człowieka silnego i zręcznego.

Obie kobiety spojrzały na siebie.

— A Franciszek? — zapytała kucharka.

— Franciszek? — powtórzył „extra”.

— Służący, którego przysyłano do nas zwykle od „Lambert i Duranda”...

„Lambert i Durand” był to wielki zakład, który dostarczał towarzystwu paryskiemu wykwinnych potraw, przysmaków zagranicznych i wypożyczał swych służących.

— Wyjechał przed dwoma tygodniami — odpowiedział „extra”. — Ja mam go zastąpić... i uczynię wszystko, by go panie nie żałowały za bardzo...

Ostatnim jego słowom towarzyszył miły uśmiech.

— Zajmijmy się jednak nakryciem do stołu! — zwrócił się do pokojówki.

— Może pan napije się czego przedtem? — zaproponowała kucharka.

— Chętnie.

Przyniosła trzy kieliszki i napełniła winem. „Extra” wziął jeden i rzekł:

— Pani zdrowie, pani...?

— Anna — dodała kucharka.

Pani Anno! A?...

Wesołe jego oczy spoczęły teraz na pokojówce.

— Jestem Małgorzata — odpowiedziała.

— ...I panno Małgorzato! — zakończył „extra”.

Trącił się z niemi kieliszkiem, wypił i mlaśniał językiem.

— Jeszcze kropelkę? — zapytała kucharka.

— A robota?

— Nie ucieknie, nie potrzeba się spieszyć — wyjaśniła pokojówka. — Obiad jest dopiero punkt ósma.

— Ile osób będzie?

— Pan baron, pani baronowa, panna Kamilla.

— To córka ich?

— Tak... panna Dubois, jej nauczycielka... Pan Piotr Carlelegue?... Król stu dwudziestu koni?...

— Tak, oni!

Kieliszki napełniły się znowu.

— Wasza panna Kamilla dobrze trafiła! — odezwał się „extra”. — On dobrze jeździ, ten król stu dwudziestu koni, a przytem ma i ładny majątek! Samochody Carlelegue’a strachem wszystkich przejmują.

— Zwłaszcza — dodała pokojówka — po ostatnich wyścigach, które pan Piotr wygrał przed miesiącem na jasnym Wybrzeżu...

— Ach, to jest zuch! Przyjemnie było pa-trzeć!

— To pan go widział!

— Byłem: wówczas w Monte-Carlo... Byłem pułkownikiem...

„Extra” kasnął, napił się mader i poprawił się. — Byłem tam z swym panem pułkownikiem de la Roche Chalais... A kto więcej będzie dzisiaj na obiedzie?

— Ojciec i matka pana Piotra... pan de Terrade, główny inżynier fabryk Carlelegue’a... I wreszcie notaryusz domowy, pan Badox z żoną.

— Dziesięć osób.

— I pan Duret — dodała kucharka.

— Ach, tak! — rzekła Małgorzata — wuj pani.

„Extra” zapytał:

— Jest jakiś Duret, który należy do wszelkich towarzystw dobroczynnych... Czy to ten sam?

— To on właściciel

„Extra” dokończył swego kieliszka.

— Powiem pani, że pan już przyszedł — rzekła Małgorzata. — Jak pan się nazywa?

— Alfred Gauthier.

Pokojówka wyszła.

— Pani madera, pani Anno, jest doskonała, zaczął „extra”. — Chciałbym zakończyć swe życie między taką butelką jak ta i taką kobietą jak pani... Ach! nie nudziłbym się ani chwili!

— Taką kobietą jak ja?

— Ależ tak!

I przybyły służący objął w pół kucharkę.

— Panie Alfredzie! — zaprotestowała otyła kobieta.

— Alfred puścił ją, gdyż nadchodziła właśnie Małgorzata, mówiąc:

Chce pan już iść?

„Extra” ruszył za nią.

W korytarzu podsunął się ku niej bliżej i spojrzał na nią czułym wzrokiem.

— Cóż znowu? — odezwała się brunetka.

„Extra” nie odpowiedział nic, lecz pocałował ją gorąco.

— Panie Alfredzie!

Ach, ja uwielbiam panią!

— Choć przed pięciu minutami dopiero pan mnie poznał?

— Spadło to na mnie jak piorun z nieba!

— Psst!

Wchodzili do sali jadalnej. Pani domu jeszcze tu nie było.

— Pójdę po bieliznę stołową — rzekła Małgorzata.

„Extra” został sam. Jednym rzutem oka zlustrował cały pokój. Potem podszedł szybko do szafy w ścianie i otworzył ją. Skrzywił się jednak zawiedziony.

— Naczynia stołowe... — mruknął.

Znalazł się jednak natychmiast przy kredensie i zajął do dolnych półek. Twarz jego rozpromieniła się.

— Srebro...

Z kieszeni fraka wyjął kawałek miękkiego wosku i nachylił się przy zamku, a jednocześnie nadśluchiwał, nadstawiając uszu w stronę westybulu. Nagle rozległ się lekki szmer kroków. Wosk zniknął z jego dłoni. Ukazała się pani domu, za nią szła Małgorzata z całą masą serwet na ręku.

Ruchliwa twarz Alfreda stała się znowu poważną i zimną. Skłonił się w milczeniu i przypatrywał ukradkiem swej jednowieczorowej pani. Wymukła a nawet chuda pani de Lagunan nie wyglądała na swe trzydzieści siedm lat, zwłaszcza przy nader delikatnych rysach. Cera jej jednak była już zupełnie zwiędła i pośliznięta. Skóra tej kobiety, wydającej się młodszą niż była, robiła wrażenie pergaminu, tak pozbawioną była wszelkiego blasku, co wraz z chudością nadawało jej dumnej i pysznej twarzy wyrazu jakiejś nieprzyjemnej ostrości.

Baronowa przyjrzała się naprzód uważnie służącemu, potem zadowolona z jego wyglądu, rzekła:

— Pokojówka pokaże gdzie są rzeczy.

W chwili tej w głębi westybulu rozległ się głos dzwonka elektrycznego.

— Proszę iść otworzyć — rzekła baronowa.

Alfred wyszedł z sali jadalnej i skierował się powoli do drzwi wiodących na ulicę. Naprzód przyjrzał się zamknięciu i zmierzył wysokość, na jakiej znajduje się zasuw i dopiero potem otworzył. Wszedł wysoki mężczyzna. Alfred domyślił się, że jest to Duret, o którym mówiono, przewodniczący wielu towarzystw filantropijnych, wuj pani de Lagunan. Przybyły zdjął kapelusz i palto przy pomocy służącego i przeszedł do salonu.

Maksym Duret miał pięćdziesiąt pięć lat. Był wysoki i silnie zbudowany. Jego łśniącą czaszką krótkie, lekko szpakowate faworyty, wyniosła postawa, chód i ruchy, nadawały mu wyrazu imponującego. Wzrok jego był zimny, twarz już postarzała, lecz jeszcze o regularnych rysach, odznaczała się pewną dostojnością. Siadł, lecz prawie w tejże chwili powstał, ukazała się bowiem pani de Lagunan.

Wuj z siostrzenicą uścisnęli się za ręce i spojrzeli dokoła siebie, aby upewnić się, czy niema w pokoju nikogo więcej. Potem zapytał półgłosem:

— Masz wszystkie listy?

— Mam — szepnęła baronowa.

— A klucz?

— Próbowałam te, które miałam tutaj... Zaden z nich nie nadawał się... Kupiłam wobec tego cały pęk kluczy i wreszcie znalazł się jeden odpowiedni...

— Dobrze.

— A więc — rzekła baronowa — chwila nadeszła?

— Ma się rozumieć.

— Nakoniec!

Byli cokolwiek bladzi. Nie mówili już nic więcej, lecz w milczeniu spoglądali na siebie.

Po chwili odezwała się pani de Lagunan.

— Uda się nam teraz lepiej niż przed dwudziestu laty?

— Niema dwóch Julianów Naixent! — odparł Duret.

Milczenie zapanowało znowu. Maksym Duret zaczął spacerować po pokoju z rękami w kieszeniach, z głową opuszczoną na dół. Pani de Lagunan siadła na kanapie, szczypiąc nerwowo palcami materię obicia.

Po kilku minutach ukazała się młoda panna. Była to Kamila de Lagunan.

— Dobry wieczór, wuju — rzekła, podchodząc ku niemu i podając mu czoło do pocałowania.

Wnuczka cioteczna filantropijnego prezesa, była blondynką o zielonych oczach. Dzięki uprawianiu sportów była jak na siedmnaście lat bardzo dobrze zbudowaną i rozwiniętą.

— Co dzisiaj robiłaś, drogie dziecko? — zapytał wuj.

— Rano Piotr woził mnie i pannę Dubois samochodem.

— Gdzieście byli?

— W Chartres.

— Ładny spacer!

— Obejrzałyśmy katedrę i w południe wróciłyśmy... Po śniadaniu robiłam sprawunki z mamą...

— A kiedy pracowałaś?

— Przed chwilą... Panna Dubois uczy mnie...

Młoda panna przerwała. Weszła nauczycielka jej, panna Dubois. Nie miała jeszcze dwudziestu lat. Nie odznaczała się regularnością rysów. Swe ciemne włosy czesała w jakiś poważny sposób, który wcale nie był jej do twarzy. Miała natomiast przepiękne szare oczy, bardzo wielkie i bardzo łagodne, jakby całe były przepełnione światłem. Powitała Maksyma Dureta, który jej się uklonił.

— Rozmawialiśmy o mej pracy — rzekła Kamila.

— Zadowolona pani ze swej uczennicy? — zapytał prezes.

— Owszem, bardzo jestem zadowolona.

Ludwika Dubois miała śpiewny, muzykalny głos, miękki i wesoły, który tak jak i jej spojrzenie, trafiał do serc słuchających.

— Czy sądzi pani, że może otrzymać świadectwo? — pytał dalej wuj. — Spróbujmy! Zrobimy teraz mały próbny egzamin.

Porozumiał się spojrzeniem z baronową, która podniosła się zaraz i rzekła:

— Muszę napisać jeszcze przed obiadem pilny list...

I wyszła, podczas gdy filantrop zaczął pytać Kamilę, która stała przed nim w komicznej postawie przestraszonego ucznia.

W chwili gdy baronowa opuszczała salon, ktoś na pierwszym piętrze wychodził z jej pokoju. Był to Alfred. „Extra” w przejściu z kuchni do pokoju jadalnego zaszedł i na piętro, gdzie w ciągu minuty obejrzał dwa pokoje.

— Mam czas i na trzeci — szepnął do siebie.

Wprost pokoju baronowej, znajdowały się drugie drzwi. Zapukał do nich, lecz nikt mu nie odpowiedział. Wtedy wszedł i zamknął je